

S A T Y R A

Zygmunt Turkowski

Cichy żal do Winawera

Niedawno wynudziłem się śmiertelnie na pewnym filmie. Zmęczyła mnie nietyle fabuła, ile to i rekwizyty tego widowiska. Reżyser obrał sobie mianowicie za tło najnowocześniejszą cywilizację wraz z jej najnowocześniejszymi (co tu sylab!) udoskonaleniami i wynalazkami, które jej służą za rekwizyty.

Była to jakaś fantastyczna rewja kabaretowa w obłokach. Krótko mówiąc, saksofoniści latali awionetkami i autogirami, porozumiewając się za pomocą radiofonji z girlsami, które, mając umieszczone w biustonoszach mikrofony, wtórowały saksofonistom śpiewem, nie przerywając ani na chwilę tańca na skrzydłach olbrzymich hydroplanów, obwozających je nad zatoką Rio de Janeiro. Jeśli się to którejs girlsie sprzykrzyło, to rozwijała spadochron i opadała swobodnie na taras pierwszej lepszej kawiarni, a jeśli się której zachciało tymczasem wyjść z zamka, to łaziła się radiofonicznie i telewizyjnie z obłubieńcem i pastorem, który tą samą drogą udzielał młodej parze ślubu.

Nie usnąłem wprawdzie na tem widowisku, ale zato „noga mi usnęła”, jak się kiedyś w podobnej sytuacji wyraził Bruno Winawer. Wyszedłszy z spektaklu oswiały, poczęłam hipochondrycznie dozukiwać się przyczyn znużenia w neurastenji, która, jak wiemy, objawia się pogardą dla spraw tego świata. Ponadto uświadomiłem sobie w jaskrawym przeciwstawieniu postać człowieka, pełnego entuzjazmu dla wszystkiego, co nowoczesne, wielkiego miłośnika postępu i propagatora techniki, właśnie Brunona Winawera. Zgnębiony tem do reszty, powlokłem się do domu i postanowiłem „wydębić z siebie na siłę” choć odrobinę podziwu dla ludzkiego geniuszu.

— Trzeba wyleźć z tego warszawskiego Grajdółka! — pomyślałem. — Trzeba wyrzeć na szerszy świat! Zobaczyć te cuda, wyfrunąć, zachłystnąć się stratosferą! Runąć głową w Kosmos! Nie siedzieć ciągle w Ziemiańskiej, gdzie się spotyka wciąż te same twarze! (hm).

Wróciwszy do domu poczęłam z zapałem przerzucać biblioteczkę i natrafiłem na znaną wszystkim, a zapoznaną przeze mnie książką Bruno Winawera p. t. „Boczna Antena”.

Już z pierwszych stron pochwyciło mnie ożywczo, niby ozonem:

„Fizyka, gdyby ją w szkołach wykładało wesoło i porządnie, nauczylaby nas myśleć logicznie, patrzeć uważnie, mówić rozsądnie. Wzbudziłaby szacunek dla odwiecznych i najszlachetniejszych wysiłków człowieka na tym świecie, dla twórczego geniuszu ludzkiego, nawet dla słów, które dziś najchętniej układamy w puste, choć brzmiące frazesy”.

Stusnie! Dalej następuje szereg nazwisk badaczy i odkrywców, którzy

„zajęli najważniejsze odcinki bojowe, nawet te tysiące dolarów, otrzymanych z fundacji Nobla, przeznaczyli na lepszy orzeź i staranniejszy ekwipunek i zwartą ławą prą naprzód”.

Przeczytawszy te nazwiska i ucciwszy niektóre z nich „minutę milczenia”, natrafiam wreszcie na efektywne rezultaty wysiłków tych ludzi.

Sprawa dotyczy pewnego małego żuczka, który nazywa się Popillia japonica:

„Wygląda dość niepozornie i osiedlił się początkowo w Nowym Jersey. Ale już po kilku latach zawojował ca-

łą Pensylwanię, zdobył Filadelfję, zatakował stan Delaware, niszcząc, jak Attyla — bicz Boży, zasiewy. Nic mu się oprzeć nie mogło. Wtedy to rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił się z prośbą o ratunek do owych zabawnych ludzi, z których śmiejemy się tak chętnie po teatrykach. Panowie C. P. Clausen i J. L. King, etnomologowie amerykańscy, ruszyli na straszliwego chrząszcza japońskiego, stokroć groźniejszego od niejednej armji”.

Przy tych słowach owiała mnie nagła niepewność, potarłem czoło i przypomniałem sobie, że „Boczna Antena” została wydana ładnych parę lat temu. Pewnie 8 lat albo i więcej, a od tego czasu jakże się wiele rzeczy zmieniło. Ba! toć to czasy przedkryzysowe. To zmienia postać rzeczy. Zaczynam się obawiać, że panowie C. P. Clausen i J. L. King postąpili nieślusnie, tępiąc małego żuczka. Przecież w parę lat potem odbywało się w tych samych Stanach z ramienia rządu słynne niszczenie zasiewów dla ratowania cen: palenie kawy, pszenicy, żyta, więcej nawet, okręty, pełne pomarańcz i bananów, wyjeżdżały na pełne morze dla zatopienia tych produktów. Oglądaliśmy przecież u nas te sceny w dodatkach Paramountu, pamięta Pan, Panie Brunonie?

Wobec tego śmiem twierdzić, że pańscy uczeni narazili rząd Stanów na podwójne koszty: niszczenia robaczek dla ratowania zasiewów i niszczenia zasiewów dla ratowania cen (nie licząc już kosztów studiów i doświadczeń obu uczonych). A teraz czytamy dalej o wspaniałym wynalazku, jakim jest radio:

„Jeszcze za moich lat akademickich fale elektryczne były czemś bardzo tajemniczym, ja sam w pocie usznożonego czoła robiłem pracę doktorską z tej dziedziny, — oglądaliśmy na wykładach ze czcią i bojaźnią iskierki Hertza i błazane zwierciadła paraboliczne...”

A dziś z samego ranka pan Wajszczuk zmusza nas przez radio do tańca. Zatańczęm do upadłego, lykamy wraz ze śniadaniem płytę ze słowami Własta, do zupy wtóruje nam mezzo - sopranem pani Potylicka - Wiercipepska, do poobiedniej drzemki mamy jazz, do kolacji wykład o znakomitej odmianie wykafloji „Uptodate”, a do modlitwy wieczornej „Łożę sztyrdców”, nie mówiąc już oczywiście o świętych skądinąd odczytach Bruno Winawera na temat jeszcze nowszych udoskonalen.

Czytając dalej, aż za głowę się chwytam, ile się to od czasu tej książki zmieniło:

„Rzecz jest doprawdy oszalamiająca! Kilka dni temu pisałem tu o „ga dającym obrazie”, o fenomenalnej metodzie filmowania głosu, a już dziś w jednym z czasopism zagranicznych znajdujemy sprawozdanie z „premier”. Towarzystwo „Tonfilm” zaprosiło prasę berlińską do sali „Kapitolu”. Poczem bez dłuższych wstępów i prologów ukazał się na ekranie konferencjer — jakiś tamtejszy Jarosy czy Konrad Tom — uklonił się ładnie i — poczał gadać do publiczności. Już jutro, albo pojutrze będziemy sobie filmowali głos ludzi zupełnie tak samo, jak dziś filmujemy aktorów”.

Ani nie jutro, ani pojutrze, ale niestety, już wczoraj nastuchaliśmy się tych „gadających obrazów”, słyszeliśmy nawet rozmowę Cezara z Kleopatry.

Cezar: — Halo baby?

Kleopatra: — O, yes! sure.

I polską mowę słyszeliśmy także, i wiemy już napamięć, że najlepsze pończochy są Paniewa i że ostrza Parid i Rolo idealnie gołą. A co do Jarosyego czy Konrada Toma, mamy ich dziś już żywcem w cenie zwykłego kina.

„Najtwardszym orzechem do zgryzienia był jednak dla wynalazców stanowczo film kolorowy. Widzaliśmy nieraz nieudolne próbki i nieśmiałe pierwsze zdjęcia barwy na ekranach. Nie owijajmy nic w bawełnę, bądźmy szczerzy — sprawa wyglądała beznadziejnie”.

Mamy już te filmy kolorowe, przywodzą one na myśl słowa wieszczki: „Choć mi tak niebo Ty złosisz i morze, smutno mi Boże!”

Bierze mnie ochota samemu wypuścić się na naukowe prorocstwo. Czegóż to jeszcze brak nam do szczęścia... już wiem, brak nam domów na palach żelbetonowych, które buduje już zagranicą słynny architekt Corbusier. To świetna rzecz takie domy, nie tamujące ruchu pojazdów, które mogą swobodnie przejeżdżać pod nimi. Bo nowoczesny człowiek bardzo się spieszy, dokąd się spieszy niewiadomo, dość, że jest mu pilno i nie może tedy dom stać mu na zawadzie. Weźmy przykład: spieszy się, powiedzmy, czarnym Packardem kuśnierz Apfelbaum, bo jedzie z zielonem futrem do eleganckiej pani Pate'owej, czarny Packard pędzi więc pod domami, które ustępują mu z drogi, wreszcie pani Pate'owa ma już futro i bardzo spieszy się na przejażdżkę, więc już po chwili zielony Packard pędzi pod domami Corbusiera.

Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

I czego jeszcze nam brak? Telewizji. A mamy już wcale niezłe wyniki, niestety, szwankuje jeszcze czystość obrazu. Oto przykład tego, „co p. Baird widzi już na odległość setek tysięcy mil”.



Najlepszy, choć mętny jeszcze obraz, przesłany drogą telewizyjną.



A oto przeze mnie wykonana przypuszczalna podobizna, wykonana po ewentualnym oczyszczeniu telewizyjnego obrazu. No, i jak się państwu ta twarz podoba? Przypuśćmy nawet, że jest to twarz następcy Dillingera, no, czy to Pana „urządza”, Panie Winawer?

Dalej czytamy jeszcze w „Bocznej Antenie” przepowiednie pokonania Atlantyku. Już zrobione, mieliśmy tu niedawno braci Adamowiczów, bardzo miłych gości, owszem, ale prawdę mówiąc, następnych „braci” już nie jesteśmy ciekawi. Na zakończenie przytoczę jeszcze jedno prorocstwo Bruno Winawera:

„Niezadługo nawet biedna, wycieńczona panienka ze stacji telefonicznej będzie mogła wypocząć cokolwiek — największe miasta Berlina, Paryż wprowadzają centrale automatyczne”.

Gdzieżto wypoczywają te panienki? Czy mają aby co jeść? Czy pomślał Pan aby, Brunonie, o tym tysiącu przeszło zredukowanych, biednych, wycieńczonych panienek? Czy nie boli pana serce?

Martwe znasz prawdy, nieznane dla [ludu],
Widzisz świat w proszku, w każdej [gwiazd] iskrze;
Nie znasz prawd żywych, nie oba [czw]sz cudu
Miej serce i patrzaj w serce! (A. Mickiewicz).

A na to Bruno Winawer:

„Wiem, że te fakty nie przekonają Periklesów warszawskich. Będą siedzieli, zawinęci w togi i ch'tony, będą się zymali — pojąc czarną kawę — na sam dźwięk wyrazów: chemia, technika, wiedza ścisła, aparat, maszyna, motor, formula... Wybaczymy im albowiem zazwyczaj nie wiedzą, co mówią”.

Umizgi do Saary



Laval, Saara, Hitler

Rys. Z. Jurkowski

Janusz Minkiewicz

Aktualja

„Szopka Polityczna”, której przedstawienia odbywają się jeszcze na Karowej, dała sposobność do wywołania wielkiej wesołości nie tylko wśród widzów, ale także u autorów. Śmiejemy się dotąd serdecznie z zestawień recenzji o szopce. Humorystycznie wygląda połączenie recenzji mądrej i recenzji głupawej.

Weźmy przykład z recenzji mądrej:

„Do najlepszych motywów należą „Trzy świnki”... (K. Wierzyński, „Gazeta Polska”).

A oto, co znajdujemy w krytyce jakiegos k. b. w jakimś czerwoniaku:

„...autorzy... w numerze nazwanym w programie „Trzema Świnkami” roznieśli się niestety, zarówno z dowcipem, jak z elementarną przyzwoitością”.

W robotniku pisze m. in. J. N. Miller:

„Wcale oryginalnym pomysłem... „Trzy Świnki”.

Zaraz w innym czerwoniaku czytamy w recenzji p. Br.:

„Przykry zgrzyt piasku (!) „oziega się w numerze „Trzech świnek” „Tekst jest mechaniczną składanką tanich terminów... (sic!) „Tak robią „świnki dwie”.

Brrr... panie Br! Pańska megalomańska i pretensjonalna recenzja grzeszy absolutnym brakiem dowcipu. Przecież mógł pan zabawnie strawstować tekst szopki i napisać o Świątku Karpińskim i o mnie, że

Były sobie świnki dwie,
Co pisały szopkę źle!

Ale nie stać pana na dowcip.

Mężczy się pan nad stylami kwiecistym i tak powstają u pana niezdarności w rodzaju takiego zdania:

„Dlatego też złoto humoru w szarzy Karpińskiego i Minkiewicza błyska wtedy, kiedy ich zgrzesność rymotwórcza natyka się na szczególnie piekącą dla nich moment aktualności. W innych wypadkach, kiedy igraszki werbalne pozostają tylko igraszką, grzechotką aliteracji i rymów, brzękliwym karambo

lem kalamburów — sypie się jałowy piasek”.

Br... ucz się pan lepiej pisać przejrzyście, a przedewszystkiem inteligentniej!

Teraz o wykonawcy kukielek, panu Zarubie, K. Wierzyński pisze:

„Kukielki wykonał Jerzy Zaruba, ale niezbyt widocznie się do nich przykładał — tak mało było w nich podobieństwa do osób sportretowanych”.

Zato p. J. N. Miller stwierdza: „Łalki Jerzego Zaruby naogół bardzo pomysłowe i wyraziste”.

A dalej:

„Recytatorzy i śpiewacy tekstów, Andrzej Bogucki i Tadeusz Frenkiel przy czyniają się waleń do powodzenia szopki”.

Wróg polityczny i niewątpliwie prywatny p. Jana Nepomucena, zacytny mój pryncypał, stwierdza w dwa tygodnie potem:

„Wykonawcy tekstów i piosenek, Andrzej Bogucki i Tadeusz Frenkiel trochę od niechęci traktują swe czynności”.

Ale nie tylko z aktorów p. Piasecki jest niezadowolony. Narzeka także, że w pewnym momencie:

„...wyobraźnia zawiodła autorów”.

Nie wiem, jak Karpiński, ale ja obojętnie zgadzam się z tą uwagą. Ale kto temu zawinił, panie redaktorze, że zawiodła mnie wyobraźnia? Tylko pan, panie pryncypale! Wymaga pan ode mnie co ty dzień obfitego materiału do niedzielnego „ABC”, ja męcę się przez siedem dni, wypompowuję, a potem pan jeszcze na mnie wymyśla! Fe! Nieładnie!

Za karę musi pan mi pozwolić, żebym zwrócił się do tych nielicznych czytelników, którzy nie byli jeszcze na szopce, aby sprawdzili obojętnie, który z szanownych recenzentów ma właściwie rację, i przyszli na Karową 18 o godz. 7.30, lub o 9.45 i to w najbliższych dniach, bo szopka ma zarezerwowane terminy na prowincji i nie może długo czekać!

Entliczek-pentliczek

Zdaje się, że wszyscy członkowie Akademji Literatury ukradkiem, w tajemnicy przeprowadzili wspólnie podczas długich ferij kurację... Woronowa. Zeszlorocznemu staruszkowi wykazują obecnie na każdym kroku, już nie zwykłą, beztroską młodość, ale zupełne zdziocinienie.

Jaskrawym tego dowodem jest chociażby ostatnie posiedzenie tej dziwnej instytucji. Nasi miłośnicy akademicy wydali potem oficjalny komunikat, w którym można było przeczytać między innymi taki punkt obrad:

„...przeznaczono dyskusję i dokonano próbnego głosowania nad pierwszymi kandydatami do odznaczenia „Wawrzynem Akademickim”.

„Dokonano próbnego głosowania”. Pewnie dla zabawy. Tak „na niby”. Pomysł rzuciło zapewne „enfant terrible” Akademji — Kaden. Śmiechu i hałasu było conie-

miara. Dowcipom nie było końca. Przecież to i tak nie ważne, to tylko próba! Miriam krztusząc się od chichotu rzucił kandyaturę prof. Piniego. Irzykowski wołał nieśmiało: — Ja chcę Slonimskiego! A malutki profesorek Kleiner stał w środku i wybierał swego kandydata metodą: — Entliczek — pentliczek, czerwony staniczek, na kogo wypadnie...?

Tiak nie można, moje dliogie dzieci. Tsiaba tłosekcie spoważnieć! Psiastać się ciągle bawić, wziąć się łaz do poważnej pracy! Zicie siamo was jescie tiego naucic! A wstyd! A nieładnie! Julek, stiań w kacie! Karolek, kleknij pod ścianą! Tadziku, psiepsij ćtier-naście razy: Entliczek — pentliczek”. Wicuuś, uspokój się!

Bo wychodzi z tego prawdziwy mętlliczek.

j. m.

Tajemnice pol'szyne'a

Znana jest w całych Niemczech manja Goeringa przebieganie się w coraz to nowe i oryginalniejsze mundury. Na ten temat doszła do nas z Berlina autentyczna podobno historia.

Goering, ubrany w codzienny mundur generała, pracuje w swych apartamentach. Nagle przybiega jego adjutant i przerywa mu pracę, mówiąc, że w domu pękła rura wodociągowa i woda zalewa piwnice.

— Nie widzisz, że pracuję? — mówi zimno Goering. — Daj mi spokój. Wynos się!

W godzinę później, ten sam adjutant, przerażony, znowu przy-

biega krzycząc, że woda w piwnicy osiągnęła już wysokość jednego metra.

— Nie zwracaj mi tem głowy! — mówi zapracowany Goering.

Znowu mija godzina. Doprowadzony do ostateczności adjutant wbiega i zrozpaczonym głosem zawiadamia Goeringa, że w piwnicy poruszać się już można tylko za pomocą motorówki.

— Motorówką? — woła radośnie Goering i cała jego twarz rozplywa się w uśmiechu.

Naciska dzwonek na lokaja i wy-daje mu polecenie:

— Prędko, mój mundur admirała!!!

OSCHŁA JUŻ ZIEMIA, OSUSZMY ŁZY...



Czy w Twoim lokalu wisi nalepka, świadcząca, że opodatkowa-ś się na rzecz podwodzian?